

Wakacje z mułłami – cz. 7

12 października 2007

W innym pomieszczeniu w ogromnych kadziach farbowano wełnę. Pokazano nam barwniki. Są tradycyjne, tylko naturalnego pochodzenia – różne glinki, części owoców i roślin, łupiny. Trudno nam było uwierzyć jak oni są w stanie wyczarować aż tyle odcieni i kolorów z tak prostych składników. Każda próbka koloru miała doczepioną drewnianą tablicę z długą listą składników i recepturą jak ja wyprodukować. Na zakończenie zajrzeliśmy do sklepionego magazynu gotowej do użycia wełny i sąsiedniego pomieszczenia z dywanami na sprzedaż. Były rzeczywiście wysokiej klasy i bardzo tanie – jaka szkoda, że nie możemy kupić i jakoś wysłać do domu. Bardzo interesująca i pouczająca wizyta. Zapłaciliśmy naszemu przewodnikowi i wróciliśmy do hotelu po bagaże.

YAZD

Przyjechaliśmy na dworzec. Autobus do Yazd już stał na stanowisku.

– Jak to dobrze że jest nowoczesny, przynajmniej będzie klimatyzacja... – stwierdzamy z ulgą.

Wsadziliśmy nasze walizki do bagażnika i przewidując przyjemną podróż i nowe widoki weszliśmy do środka. Tymczasem wewnątrz przywitało nas temperaturą pieca hutniczego. Słońce prażyło przez ogromne szyby bez miłosierdzia, żadnej klimatyzacji nie było, a stęchłe, rozgrzane powietrze wprost parzyło płuca. Wydawało się, że fizycznie nie jest wogóle możliwe wytrzymanie czegoś takiego. Na dodatek ten cały mój nieszczęsny przyodziewek – poliestrowy płaszcz, chustka, spodnie, skarpety parzyły mnie tak bardzo że wydawało mi się że nie wytrzymam, że zemdleję. Pot zaczął się ze mnie lać litrami i gdyby nie to że to Iran, od razu zdarłabym z siebie wszystko. Tymczasem autobus zapełnił się mężczyznami i równie nieszczęśliwymi jak

ja kobietami, które oprócz płaszczy i chust miały jeszcze nas sobie czadory. Nawet w ruchu nie było lepiej, bo okien nie dało się szeroko otworzyć, na domiar złego siedzieliśmy po słonecznej stronie. Podróż była koszmarem, gorąco, widoki na zewnątrz nieciekawe, bo przez kilka kilometrów za miastem pustynia pokryta była tonami plastikowych toreb i śmieci. Na dodatek za nami siedziała kobieta która bez przerwy kaszłała. Od kompletnego zemdlenia utrzymywała mnie jedynie popijana po łyku woda i nadzieja że przecież musi się to kiedyś skończyć. Krzysiek w lekkiej bawełnianej koszulce z krótkim rękawem nie może zrozumieć czemu narzekam i twierdzi, że wcale nie jest tak gorąco. Łatwo takiemu gadać! Mam ochotę czymś mu przyłożyć. Towarzysze podróży zagadują nas, pytając skąd jesteśmy i dokąd jedziemy. Jeden z mężczyzn półzartem oferuje Krzyskowi swoją córkę, atrakcyjną nastolatkę, za żonę. Dziewczynie pomysł chyba się podoba, bo szczerzy do Krzyśka zęby. Ten mówi, że już ma żonę i pokazuje na mnie, ale ojca to nie zniechęca:

– Jesteś – mówi do mego męża – taki bogaty, że stać cię na drugą!

Nasz autobus jest pośpieszny, niemniej jednak co jakiś czas musi wjeżdżać na punkty kontrolne, gdzie żołnierze i policja wchodzi do środka i podejrzliwie przyglądają się pasażerom. Niektórym każą wysiadać z bagażami i trzepią ich szukając narkotyków. Droga którą jedziemy jest główną trasą przemytu heroiny z Afganistanu i Pakistanu na Zachód.

Wreszcie pod wieczór przybyliśmy do Yazd. Wzięliśmy z dworca taksówkę do pierwszego z brzegu taniego hotelu dla miejscowych wymienionego w przewodniku, uzgadniając cenę na 4000 Riali. Na miejscu facet nagle zaczął żądać od nas 6000. Zrobiła się awantura, bo Krzysiek się upierał, że tyle nie zapłaci. Taksówkarz, jakiś półdziko wyglądający typ, wyskoczył z auta wrzeszcząc przekleństwa pod naszym adresem. Zaraz wyszło do nas paru facetów z hotelu. Jeden z nich, posłuchawszy awantury, ostrym tonem kazał taksówkarzowi zgodzić się na 5

tys i na tym stanęło, nikt nie stracił (całkiem) twarzy. Był to jedyny przypadek podczas całego naszego pobytu w Iranie, kiedy ktoś nie uszanował umówionej ceny!

Pokazano nam pokój. Wydeptana do osnowy wykładzina na podłodze, szpitalne białe kafelki na ścianach, trzy łóżka z podejrzanej świeżości pościelą, czerwone zasłony w oknach, koślawa łazienka z kucaną ubikacją. Niezbyt czysto, ale za 8 Chomeinich (80 tys riali=\$10) trudno spodziewać się pałacowych luksusów. Jesteśmy zmęczeni podróżą, robi się noc, zaczął lać rzęsy deszcz i nie mamy ani siły, ani ochoty włączyć się po obcym mieście z bagażami w pogoni za tzw wygodami. Pościel mamy własną, jedwabne śpiworki ważące kilkaset gramów, zwijające się w pakiecik wielkości pięści, idealne właśnie na takie okazje. Mimo że dzień jest ciepły kaloryfer grzeje na całego. Czym prędzej go zakręcamy, kładziemy na nim mokre prześcieradło aby go jakoś wystudzić, otwieramy na oścież okno i idziemy poszukać czegoś do zjedzenia. Na ulicach kobiety pozawijane chyba bardziej niż w Sziraz i Kerman, większość mężczyzn ubrana w kurtki, nam wystarcza na razie to co dotąd nosiliśmy. Leje deszcz, mimo to na chodnikach tłumy ludzi. Ruch na jezdni i pobliskim rondzie tak duży, że przedostanie się na drugą stronę ulicy jest absolutnie niemożliwe bez narażania życia, choć nabraliśmy już trochę doświadczenia w przechodzeniu przez irańskie ulice. Jakaś grupka młodych zaczepiła nas bardzo nieprzyjemnie. Na szczęście zaraz odeszli. Znaleźliśmy restaurację polecaną przez przewodnik. Zamówiliśmy jakieś duszone mięso. Przynieśli nam małą miseczkę z grochem w sosie, w którym pływały też dwa kawałeczki łykowatej baraniny. Na szczęście towarzyszyła temu ogromna porcja ryżu, talerz zieleniny i główka soczystej, surowej cebuli, które zaspokoily nasze apetyty. Nasz hotel jest w podwórku, ale mimo tego uliczny hałas przenika aż do pokoju. W pobliżu jest też jakiś meczet, głośne nawoływanie muezina do modlitwy budzi nas o piątej rano. Przynajmniej wiemy, że jesteśmy w Iranie...

Wstaliśmy w nie najlepszych humorach. Śniadanie organizujemy sami, pudło jogurtu ze sklepiku, świeży, jeszcze ciepły chleb plackowy z piekarni, kiszone ogórki, a do popicia woda mineralna i ulubiony sok z kwaśnych wiśni w foliowych torebkach. Rozkładamy wiktuały na ściereczce na łóżku. Można by iść do jakiejś restauracji, ale ileż kebabów człowiek jest w stanie zjeść!

Prawie przy każdej ulicy ulicy jest piekarnia. Większość używa wciąż jeszcze tradycyjnych pieców. Taki piec to kulista komora ceramiczna, wylepiona gliną, z dziurą na górze i palnikiem gazowym na dnie. Kulki drożdżowego ciasta wielkości małej bułki rozciąga się w rękach aż powstanie z tego cienki placek o średnicy około czterdziestu centymetrów. Nakłada się go na okrągłą deskę o podobnej średnicy i za jej pomocą przykleja pionowo do ściany pieca. Po paru minutach chleb jest gotowy. Są też zmechanizowane piekarnie, w których placki piecze się na ruchomej taśmie. Z jednej strony piekarze kładą na nią surowe placki, które powoli jadą przez piec, aż upieczone ukazują się z drugiej strony. Tutejsi kupują te placki na gorąco i niosą do domów przewieszane na przedramieniu, nie przejmując się kurzem ulicznym i bakcyłami w powietrzu. Krzysiek poszedł za ich przykładem i z poważną miną maszeruje co rano z plackami z piekarni, wyglądając zupełnie jak tubylec.

Po śniadaniu wyruszamy na stare miasto, które na szczęście zaczyna się tuż obok naszego hotelu. Ulica Chomeiniego bardzo szeroka, ale przejść na drugą stronę prawie nie sposób. Prócz aut bardzo dużo jest tutaj różnego rodzaju motocykli i motorowerów, które jeżdżą z zawrotną szybkością wszędzie gdzie znajdą trochę miejsca, włączając również chodniki dla pieszych. Trzeba bardzo uważać aby nagle nie zostać rozjechanym w najmniej spodziewanym miejscu, bo wszędzie poza domem i meczetem jest tak samo niebezpiecznie. Po kilkakrotnym uniknięciu wypadku o przysłowiowy włosek, nasze zmysły wyostrzyły się do tego stopnia, że oczy mamy równocześnie z

czterech stron głowy. Przy ulicy Chomeiniego i w bazarze setki maleńkich sklepików i warsztatów daje pracę tysiącom ludzi którzy w przeciwnym wypadku wylądowaliby na bruku. Na żywo ogladamy pracę przeróżnych rzemieślników, których od dawna nie ma już na Zachodzie, bo tu wciąż bardzo dużo robi się ręcznie. Z wyjątkiem największych miast, nie ma supermarketów. Każdy miejscowy jednakże dobrze wie co gdzie można kupić, czy naprawić. Ludzie, zwłaszcza na prowincji, w znacznym stopniu żyją swoim tradycyjnym unikalnym życiem i mają bardzo mgliste pojęcie o zewnętrznym świecie.

Po dość długim przedzieraniu się przez tłumy doszliśmy do przepięknego meczetu z XIV w. W końcu niewielkiego dziedzińca z sadzawką stoi ogromna brama z dwoma strzelistymi minaretami, wszystko obudowane lazurowymi kafelkami. Prastare drewniane, pięknie rzeźbione i ponabijane ogromnymi ćwiekami odrzwia pod soplowym sklepieniem otwierają się na rozległy główny dziedziniec. Był to najpiękniejszy meczet jaki widzieliśmy w Iranie, ale nie robił na nas już takiego wrażenia jak te pierwsze które widzieliśmy. Widocznie oko przywyka nawet do piękna. Wokół meczetu rozciąga się stare miasto, które nie zmieniło się wiele od czasów gdy gościł tu Marko polo i jest tak unikalne i tak szybko niszczeje, że zostało objęte opieką UNESCO i spore fundusze idą na bieżącą konserwację. Jest to poplątany labirynt zaułków miejscami przykrytych sklepieniami, o szerokości dwóch kroków, pomiędzy ślepyimi ścianami domów. W murach nie ma żadnych okien, a jedynie z rzadka zamknięte na głucho jakieś niskie bramki. Gdyby nie motocykle pojawiające się nagle nie wiadomo skąd miałabym wrażenie, że znalazłam się w jakimś zamartłym glinianym labiryncie po którym można błądzić godzinami szukając drogi z powrotem...

Wbrew pozorom jest to jednak wciąż żywe miasto, za tymi murami są podwórka, ogródki i domy w których mieszkają ludzie. Przewodnik podaje, że podobno jest nawet możliwość zwiedzenia jednego z nich, należącego kiedyś do jakiegoś miejscowego bogacza.

Po długim błędzeniu znaleźliśmy ten dom, wykupiliśmy bilety, ale obejrzeliliśmy tylko podwórko z sadzawką i drzewami, reszta domu zajęta była przez jakieś biura.

Tutejsze tradycyjne budownictwo musiało sobie radzić bez użycia drewna do konstrukcji dachów, jako że na pustyni było ono trudno dostępne. Z powodu braku paliwa wypalane cegły były bardzo drogie i tylko najbogatsi mogli sobie na nie pozwolić. Dlatego też, z wyjątkiem budowli monumentalnych i rezydencji arystokracji i najzamożniejszych kupców, wszystkie stare budynki budowane były z niewypalanych cegieł z gliny zmieszanej z sieczką i nakryte płaskimi kopułami. Z wysoka wszystkie dachy jak okiem sięgnąć wyglądają jak dna odwróconych misek. Problem z takim materiałem budowlanym jest ten, że domy i dachy wymagają ciągłej konserwacji i napraw. Można to robić tylko ręcznie, a koszty siły roboczej dbardzo wzrosły od dawnych czasów. Iran ma mnóstwo zabytków i o wiele za mało funduszy na ich konserwację, która w rezultacie ogranicza się często do kosmetyki. Tymczasem bez należytej opieki gliniane domy rozsypują się tak szybko, że 1/3 starego Yazd leży już w gruzach, a raczej kupach gliny. Do tych naturalnych ruin dochodzą dziesiątki rdzewiejących szkieletów metalowych niewykończonych budynków w nowych dzielnicach. Wygląda na to, że tutaj budowanie to kwestia kilkunastu lat, o ile jest kontynuowane wogóle. Przez to wszystko miasto wygląda trochę jak po bombardowaniu. Yazd jest bardzo gorące w lecie, ale od wieków radziło sobie skutecznie z letnimi upałami bez pomocy elektryczności. Większość starych domów ma naturalną klimatyzację. Są to wysokie gliniane wieże z wąskimi pionowymi szczelinami na szczycie, otwartymi na cztery strony świata, które są w stanie wychwycić najmniejszy nawet powiew wiatru i skierować go w dół, gdzie u stóp wieży znajduje się basen z chłodną wodą. Powietrze ochładza się przez naturalne parowanie wody, poczym jest rozprowadzane konwekcyjnie do pomieszczeń. Podobno ten typ klimatyzacji był bardzo efektywny i widzieliśmy go nawet w wielu bardziej nowoczesnych budynkach. Dodatkowo pod każdym domem są podziemne pomieszczenia z

dostępem do kanatu, gdzie jest o wiele chłodniej niż na powierzchni.

Wciąż błądzimy. Koniecznie potrzebujemy jakiejś mapy miasta. Po nauczce w Sziraz chcemy też jak najszybciej zarezerwować miejsca w autobusie do Isfahanu. Wyruszyliśmy na poszukiwanie jakiejś agencji turystycznej żeby to zrobić, ale nic nie udało się załatwić. Albo nie możemy się dogadać, albo agencja polecana w przewodniku nie prowadzi rezerwacji autobusów. Po paru godzinach błądzenia decydujemy się jechać na dworzec autobusowy. Wsiedliśmy do miejskiego autobusu, który wydawał się jechać w dobrym kierunku, ale zawiózł nas Bóg raczy wiedzieć gdzie, gdzieś na peryferie. Pokręciliśmy się bezradnie po ulicach, aż wreszcie wzięliśmy taksówkę. Zgubiliśmy się, straciliśmy trochę czasu, ale mieliśmy okazję poznać również i część miasta z dala od turystycznych atrakcji. Na dworcu długaśny korytarz pełen okienek i biur firm i spółdzielni przewozowych. Napisy jednak tylko po persku, nikt nie mówił po angielsku, wszyscy posyłali nas dalej, aż wreszcie w biurze w końcu korytarza Krzyškowi udało się dogadać na tyle, że zrozumieli o co nam chodzi. Z pomocą perskich rozmówek i porównywania perskiego kalendarza z zachodnim kupiliśmy te bilety. Oczywiście nie było mowy o ich sprawdzeniu, mieliśmy jednak nadzieję, że są na właściwy dzień i trasę. Zaniepokoiło nas trochę, że dworzec wypełniony był rekrutami do wojska. Wszyscy w mundurach ze specjalnymi żołnierskimi workami. Widzieliśmy ich bardzo dużo również i w mieście a co najgorsze zupełnie nie mamy pojęcia co dzieje się w świecie i czy amerykańsko-iracka wojna nie przeniosła się przypadkiem i do Iranu.

Dziś zupełnie wyluzowany dzień. Kiedy rano wyszliśmy na spacer i usiedliśmy na skwerku przed Amir-Czakmag, średniowiecznym „supermarketem”, by pogrzać się w słońcu, dopadł nas jakiś gang dziesięcio-jedenastoletnich uliczników. Przyssali się do butów Krzyśka, wyciągnęli jakieś szmaty, pastę, szczotkę i nie sposób było się od nich opędzić. Dobrze, że w zapale

zarobienia łątwo paru groszy nie pomazali nam ubrań. Daliśmy im szybko drobny banknot, wrzeszczeli aby dać im więcej i każdemu. Na szczęście pokazało się auto policyjne i rozbiegli się w różne strony.

Iran ma ogromne złoża marmurów. Przepiękne marmury i alabastry używane są wszędzie gdzie tylko można je upchać. W życiu nie widzieliśmy aż tylu kolorów, od jasnozielonego po oliwkowy, od białego po wszystkie odcienie szarości, od różowego przez wszystkie brązy i czerwienie, w olśniewających kombinacjach. Widzieliśmy ich również dużo na gruzowiskach po wyburzeniu domów jako bezużyteczne odpady. Prócz marmurów, używane są również alabastry. Ogromne płyty tych ostatnich są w podłogach, w ścianach, na podwórkach meczetów, w wykładzinach basenów z wodą. O ile marmury są po prostu piękne, alabastry przesycane są słońcem tak jak cały Iran. Przypomniały mi się jakieś alabastrowe wazy w polskich muzeach traktowane jako coś unikalnego, gdy tymczasem tutaj ludzie po tym depczą.

Na bazarze znów naszą uwagę przykuły wyroby złotnicze i metalowe. Biżuteria, ogromne misy, dzbany, wazy, kielichy. Wspaniałością i zdobnictwem przewyższają podobnego typu precjoza ofiarowywane kiedyś polskim królom, które stoją obecnie po muzeach. Prostota w dekoracji to tutaj zupełnie nieznaną koncept. Można spędzić godziny, podziwiając tutejsze dzbany, setki wyszukanych kształtów, a co jeden to ciekawszy od drugiego.

Po południu zwiedzamy Muzeum Wody. Nie było o nim żadnej wzmianki w przewodniku, napatoczyliśmy się na nie przypadkowo i okazało się bardzo ciekawe, bo jest poświęcone zdobywaniu wody na pustyni i naturalnej klimatyzacji używanej w Yazd od wiek wieków. Muzeum mieści się w pałacu jakiegoś dawnego bogacza i pokazuje jak zamożni ludzie radzili sobie z ponad czterdziesto-stopniowymi upałami w lecie. Dom ma trzy piętra, ale nie w górę tylko w dół. Najniższy poziom jest na głębokości dziesięciu metrów, gdzie pod wieżą chłodniczą znajduje się basen z wodą i gdzie temperatura w lecie nigdy

nie przekracza dwudziestu stopni. Wyższy poziom miał już około trzydzieści stopni na okrągło, a ten naziemny był tak gorący jak cała pustynia wokół. W naszych wędrówkach po starym mieście widzieliśmy w rozwalających się budynkach wiele zejść w dół jak do metra, jednakże dopiero po zwiedzeniu tego muzeum zrozumieliśmy ich przeznaczenie.

W tutejszych rejonach prawie cała potrzebna do życia woda pochodzi z opadów śniegu w górach. Ze względu na odległość i bardzo wysokie temperatury w lecie, doprowadzenie jej otwartymi kanałami nie było możliwe bo wyparowałyby bez śladu. Yazd leży na Drodze Jedwabnej („The Silk Road”) i był zawsze ważnym centrum handlowym i oazą w pustynnej części kraju. Nie wiadomo czy w tym właśnie rejonie, czy gdzieś indziej, ludzie wynaleźli co najmniej parę tysięcy lat temu sposób na przesyłanie drogocennej wody na duże odległości za pośrednictwem tzw „kanatów”. Są to podziemne tunele o łagodnym spadku, zaczynające się na granicy śniegów w górach. Najdłuższe mają do 40 km długości. Kopano je etapami, z szybami-studniami co paraset metrów. Niektóre z tych studni mają do 100m głębokości. Trudno dziś sobie wyobrazić, w jaki sposób, przy użyciu niezwykle prymitywnych narzędzi ludzie byli w stanie wykopać te tunele, utrzymując odpowiednie nachylenie i kierunek. W muzeum obejrzeliliśmy parę tych kanatów, klaustrofobicznych nor głęboko pod ziemią, gdzie ludzie pracujący przy ich kopaniu czy utrzymywaniu w należytym porządku mogli zmieścić się tylko w kucki, lub zgięci w pół. Była to bardzo ciężka i niebezpieczna praca. Kopacze nosili białe ubrania, w które ubiera się tutaj umarłych do trumny, gdyż codziennie ocierali się o śmierć. Kanaty były miejscami ocembrowane owalnymi segmentami, wypalonymi z gliny, ale zabezpieczały one przed erozją, a nie zasypaniem, które było bezustannym zagrożeniem. O efektywności kanatów świadczy fakt, że do dziś dostarczają wyborną wodę dla miast i wsi w suchych rejonach Iranu bez użycia pomp.

Koniec części siódmej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)